

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 17-go października 1942r.

Rok IV. Nr. 42

WAGA MÓZGU

W chwili, kiedy większość z nas włożyła po raz pierwszy wojenne mundury, zagadnienie obecnej wojny było bardzo proste i bardzo jasne—szło się do walki, prawdziwej, jakkolwiek beznadziejnej, realnej, jakkolwiek nie pozbawionej pewnego posmaku romantyczności i przygody, szczególnie dla tych, którzy jej smaku zaznali po raz pierwszy. Ta chwila przemieniała niestety bardzo szybko. Zagadnienie wojny poczęło się komplikować, narastać, rozprzestrzeniać się na sprawy, które w wojnie "normalnej" w wojnie takiej, do jakiej przyzwyczajeni byli nasi ojcowie i praojcowie, nie istniały. Sprawy te wyskakiwały nagle, trafiały na umysły i pojęcia ludzkie nieprzygotowane do ich przyjęcia, z zasady samej wrogo usposobione do pomysłów młodych i rewolucyjnych. Sprawy jednak nie ustępowały torując sobie drogę nieubłaganie i stanowczo, tak tylko jak to robić potrafi natura. Albowiem niewątpliwie ona była tych zagadnień matką, ona je poczęła. Natura dzisiejszej wojny.

Burza, jaka nawiedziła nasz kraj rozrzuciła nas swoim podmuchem po całym niemal świecie. Polska mowa rozbrzmiewa dziś pod biegunem, w Zachodniej Afryce, Dalekim Wschodzie, Indiach, Szkocji, na kazakstańskich stepach. Wszędzie gdzie ona jest, wszędzie gdzie nią mówią, jest—wojna. Bowiem ona tę mowę tam zagnała, ona spowodowała jej nagłe, tragiczne i nieszczęśliwe po świecie rozproszenie. Ona wreszcie każe szukać drogi powrotnej, stwarza pierwsze, zasadnicze zagadnienie, którego istnienia nikt przecież w najczarniejszych swych myślach nie zdołałby przewidzieć. Zagadnienie powrotu. Za nim idzie tysiące innych większych i mniejszych, ważnych i błażych.

Trzeba je rozwiązać. Ale jak? W jakim kierunku?

Zagadnienie walki, obrony, natarcia przestało być łatwe i proste, takie jakie było przed trzema laty. Na szachownicę weszły nowe figury, którym trzeba było przeciwstawić nową siłę. Weszły masy czołgów, tysiące samolotów, spadochroniarze, dywersanci, oddziały *Commando*. Geniusz ludzkiego mózgu wysiła się i poświęca całą swą energię na wyszukiwanie nowych środków walki, nowych maszyn niszczących, materiałów wzbuchowych, gazów.

Oprócz tego na tyłach, a może właśnie na froncie, gdyż dzisiejsza wojna za wyjątkiem krótkiego okresu poszczególnych kampanii, nie zna określenia: front, któreby obejmowało jakiś mały odcinek, znajdują się armie w pogotowiu, armie czekające na swoją "kolejkę." Do takiej armii zaliczamy się my także. My, Polacy, należący do zbrojnych szeregów polskiej emigracji walczącej. Czekamy dzisiaj jeszcze. A przeto mamy problemy.

Zapewne nie bez przyczyny na wykład inauguracyjny nowego, trzeciego, roku akademickiego Polskiego Wydziału Medycznego na Uniwersytecie w Edynburgu, wybrano zagadnienie mózgu ludzkiego. Tytuł wykładu brzmiał: "Im doskonalszy mózg—tym większa inteligencja." Profesor Rogalski w obrazowy sposób starał się powiedzieć parę słów zgromadzonej, jakże niefachowej, publiczności, o tym jak mózg pracuje, od czego ta praca zależy, jak budowa czaszki może jasno na to wskazywać, czy dany osobnik ma mózg, czy raczej mu go brakuje. Powiedział przytem ciekawą rzecz

o tym jak bardzo waga mózgu ludzkiego różni się od wagi mózgu małpy, najbliższego człowiekowi zwierzęcia. Mózg goryla waży około 450 gramów, podczas gdy przeciętny mózg ludzki około 1400. To jednak zobowiązuje...

Nie bez przyczyny ów wykład został wybrany na inaugurację, nie bez przyczyny podkreślono wartość ludzkiego mózgu i jego możliwości. Dzięki jego bowiem pracy, dzięki jego geniuszowi, owo otwarcie trzeciego roku polskich studiów medycznych mogło się odbyć. Dzięki niemu tylko dane nam było, zwykłym śmiertelnikom siedzieć na jednym ławkach z adeptami sztuki lekarskiej, patrzeć i słuchać tych, którzy doszli do tak wielkiego stopnia doskonałości w ratowaniu istnień ludzkich, w przynoszeniu ulgi naszym cierpieniom. Dzięki jego bowiem pracy powstał Polski Wydział Lekarski na Uniwersytecie szkockim i patrząc w przyszłość, widząc już dzisiaj nasz powrót, do tego powrotu szeregi młodych, zdrowych i silnych ludzi zaczął przygotowywać. Po to by nie niszczyli, a naprawiali, po to, by nie odbierali, lecz dawali życie.

Jesteśmy wojskiem. Naszym głównym zadaniem, jedynie istotnym, zasadniczym jest—walka. Walka o powrót. Ale prócz tego jesteśmy także ludźmi. Zebrani z przeróżnych zakątków świata, wyrwani z najrozmaitszych warunków, środowisk i zainteresowań, pchnięci siłą szalonej zawieruchy w szeregi wojska po to, by bić się o powrót, po to, by walczyć o zabrany i utracony świat, śro-

dowisko, rodzinę, zakreśliłmy w tych szeregach, wrosli w nie, nie potrafimy już może dzisiaj myśleć nawet starymi, przedwojennymi pojęciami. Nasze kategorie myślenia są dzisiaj inne, nasze potrzeby o ile skromniejsze, nasze pragnienia, jakże niemal nużące sprowadzają się do jednego zagadnienia znajomej ulicy, podwórka, fontanny w ogrodzie Saskim. Tym nie mniej chcemy nie tracić czasu, chcemy po powrocie umieć wyasfaltować podwórko i w razie potrzeby naprawić nadkruszoną fontannę. Chcemy także umieć leczyć, radzić, ratować nie tylko zdrowie, ale i nadwątłego ducha jednostek. Stąd sprawa nauki, problem zdobywania wiedzy.

Powtarzam: wyszliśmy stamtąd, by walczyć. I po to tu jesteśmy. Lecz gdy czas na to pozwala, gdy okoliczności sprzyjają, a nauka sama wychodzi na spotkanie, nie wolno jej odtrącać, nie trzeba jej lekceważyć. Jakże było trudno do niej się zbliżyć, jak ciężko przewyciężyć utarte poglądy, konserwatywne umysły, wyuczone formułki. Udało się jednak. I dzisiaj wojsko żyje swoim, specyficznym, lecz coraz mocniej się rozwijającym życiem umysłowym. Powstają kluby dyskusyjne, kółka naukowe, prace pisemne z przeróżnych dziedzin, zapelniają się mury szkół i uniwersytetów. Bowiem w Kraju najcięższe razy biją w kulturę polską, bowiem w Kraju najcięższe ciężi odbiera polska nauka.

I aby temu zaradzić, aby choć w jednej milionowej części pokryć zadane straty, mózg ludzki pracu-

je dzisiaj na obczyźnie. Rozdaje swe skarby potrzebującym i chętnym. Teraz już oficjalnie wiadomo, że rozkazem Naczelnego Wodza wszyscy, którzy w Polsce rozpoczęli studia medyczne, zostają odkomenderowani do uniwersyteckich ławek. Dzisiaj właśnie na uroczystości otwarcia roku akademickiego przedstawiciel Rządu Rzeczypospolitej oświadczył uroczystość wobec zgromadzonych mistrzów i uczniów, że ciało profesorskie zatrzymuje mundury wojskowe, że jakkolwiek nie w koszarach, tym niemniej znajduje się w wojsku, że jest w pierwszej linii walczącego narodu! Mózg ludzki pracuje twórczo, na teraz, a także i na potem.

Wzruszająca to była uroczystość. Sala amfiteatralna, pośrodku katedra wykładowcy, na ścianach jakieś przedziwne tablice. Górne ławki zajmowała młodzież akademicka, prawdziwa, najprawdziwsza! Tylko, że niektórzy z nich zdali właśnie polskie matury w polskim gimnazjum na szkockiej ziemi, tylko że inni właśnie uciekli z obozów niemieckich, tylko że jeszcze inni przez ostatnie dwa lata budowali dzieńmi trzy tysiące kostek z nawozu wielbłąda, po to by odrobić normę swego życia... Taka to była młodzież.

Poniżej jej profesorowie. Co oni za jedni? Przeważnie stąd, ze Szkocji, dawno tu przyjechali. Dziewięćset dwudziestu dziewięciu pacjentów, cztery i pół tysiąca chorych klinicznych, czterysta osiemdziesiąt trzy operacje, czterdzieści trzy procedury—oto ich legi-

tymacja z ostatnich lat pracy. Prócz tego istnienie polskiego wydziału medycznego, szpitala, odczyty naukowe, zebrania lekarskie, kliniki.

Razem ci uczniowie i ci profesorowie tworzą całość. Zgraną, pracującą, walczącą. Razem na otwarcie nowego akademickiego roku śpiewali w szkockich murach uniwersyteckich "Gaudeamus."

Wielka jest potęga szarej masy mózgowej. Rozwiązuje problemy, nawet tak trudne i ciężkie, jak nauka na wojnie. Bo to jest na wojnie! Bo dzisiaj równomiernie z rozwojem i wzrostem Polskiego Wydziału Lekarskiego, z pracą polskich prawników, z dokształcaniem nowych zastępów architektów, idzie pełną parą organizacja nowej Wielkiej Jednostki, całkowite bojowej, wyposażonej w cudoowny, nowoczesny sprzęt i mającej zapewnione owe bezcenne rezerwy ludzkie, na które tak bardzo długo musiała czekać i których przecież nareszcie się doczekała.

Dwoma torami biegnie nasze tuższe życie. Tory te są do siebie równoległe i biegną w tym samym kierunku—jeden dostosowany jest do szybkiej gąsienicy czołgowej, a drugi jest tak gładki, że w czasie jazdy swobodnie czytać można najbardziej trudne dzieła naukowe. Trzeba było wiele przewyciężyć, po to, by zdobyć potrzebny budulec na ów tor gładki. Lecz to się stało. I dzisiaj największy jego przeciwnicy zaczynają powoli rozumieć jego celowość, zaczynają doceniać jego rolę w rozwiązaniu problemu powrotu, w odbudowywaniu świata, o który walczymy.

Przemienie ta wojna, tak jak przemieniły wszystkie inne, jak mija życie ludzkie i wszystkie poczynania człowieka. Zapisze się tylko w księgach historii ziemskiego globu, jako najkrwawsza, najokrutniejsza, najbardziej ze wszystkich bezwzględna. Ze zgrozą wspominać ją będą potomni. Zniszczenia i blizny goić się będą długo, krwawo i boleśnie. Zagoją się wreszcie, przemina. Powstaną nowe zagadnienia. Nawiazę się przerwana ciągłość życia.

Do murów uniwersyteckich w Krakowie przyjdą studenci, do bram uniwersytetu edynburskiego zastukają znowu spragnieni wiedzy. Będą inni od tych, którzy są teraz. Nie będą mówić śpiewnym słowiańskim językiem nie będą mieli jakiejś wiecznej w oczach tęsknoty. Do bram tych przyjdą Szkoci, Anglicy. Nie będzie Polaków. Gwarem, hałasem, życiem, które się przelewa, huczy, wre i kipi, zapelnia swoje własne sale, swe własne laboratoria, warsztaty, biblioteki. Będą u szczytu swego rozkwitu, u granic swego szczęścia. Przystanie istnieć zagadnienie powrotu. Powstanie sprawa trwania. Problem rozwoju.

Przemienie wojna. Lecz nie przemienie praca ludzkiego mózgu. Ziarenko wiedzy przyniesionej przez obcych przybyszów może zostanie po nas tu, w Szkocji. Ogrom wiedzy zabranej przez nas z powrotem tam wyda swoje owoce. Do stałe, w miarę rozwoju rodzaju ludzkiego, przybywającej wagi mózgu z czasem znowu przybędzie gram. W skali całości, przyczynić się ku temu może praca polskiego uczonego walczącego o to w pierwszej linii frontu. Na jego prawym skrzydle rozwinie się w potężnym natarciu Wielka Jednostka pancerna wyrosła u jego boku.

Ją także stworzy ludzki mózg.
ZYGUMNT NAGÓRSKI, jr.



Pomóż Polakom w Rosji

Miły gość Polskich Sił Zbrojnych

Z końcem września przybył na Wyspy Brytyjskie jako gość Rządu Polskiego Ojciec Justyn Figas, długoletni Prowincjał OO. Franciszkanów i znany kaznodzieja radiowy z Ameryki. Kazania radiowe Ojca Justyna mają wśród naszych rodaków po tamtej stronie Oceanu ustaloną sławę. Co niedziela o godzinie 5-jej po południu milionowa rzesza Polaków gromadzi się przy głośnikach radiowych, czekając na słowa znakomitego kaznodziei. Po każdym kazaniu—Ojciec Justyn odpowiada na pytania i udziela porad licznym rodakom, którzy o te porady zwracają się do niego listownie ze wszystkich miast, miasteczek i osiedli polskich w rozległych Stanach Zjednoczonych.

Jednym z głównych celów pobytu Ojca Justyna na Wyspach Brytyjskich było zetknięcie się z Polakami z Armii Amerykańskiej. Ojciec Justyn, który w swych kazaniach był zawsze szermierzem wspaniałych tradycji narodowych i sławy wojennej Rzeczypospolitej, chciał poznać życie polskich lotników, marynarzy i wojska lądowego. Po dwóch tygodniach wędrówki Ojca Justyna, w czasie której odwiedził on nasze dywizyjny lotnicze, okrętowe wojenne i oddziały wojska w Szkocji—mialem sposobność rozmowy z Nim na temat doznanych wrażeń.

—Jestem zaskoczony i oczarowany tym, co widziałem. Nigdy nie przypuszczałem, że po latach tułaczki i po ciężkich przejściach wojennych nastrojów naszych obozów wojskowych może być tak doskonale, tak młodzieńczo świeży i tak zdrowy. Rozmawiałem z lotnikami, którzy wracali dopiero co z niebezpiecznych wypraw, byłem na pokładzie trzech polskich okrętów wojennych, które zapisały właśnie świeże karty swego bohaterstwa żywota i wszędzie spotkałem niezłomną wiarę w zwycięstwo i wolę walki o wolność Polski i o lepszy świat. W wojsku lądowym, które w tej chwili nie znajduje się w akcji, panuje na-

strój oczekiwania. Jest to więc nastroj nieco inny, aniżeli wśród lotników i marynarzy, ale z wszystkich rozmów, jakie tam przeprowadziłem, wynika niezbicie, że gdy nadejdzie decydująca chwila, wojsko lądowe zda swój egzamin równie dobrze, jak polskie lotnictwo i marynarka.

W opinii polsko-amerykańskiej i w ogóle amerykańskiej, lotnicy polscy cieszą się sławą najlepszych spośród wszystkich aliantów; marynarze polscy uważani są za tak samo świetnych pod względem wykształcenia bojowego i fachowego jak słynni marynarze brytyjscy. Mój pobyt wśród jednych i drugich umacnia mnie w przekonaniu, iż ta opinia jest w pełni zasłużona.

—Czy wśród żołnierzy polskich spotkał Ojciec Prowincjał Polaków z Ameryki?

—Oczywiście. Spotkałem nawet osobistych moich znajomych, m. in. marynarza rodem z Buffalo, który nie opuszczał żadnego mego kazania. Wszyscy spotkani Polacy amerykańscy wyrażali się jak najlepiej o stosunkach

w Polskich Siłach Zbrojnych. Mówili oni zwłaszcza wiele o serdecznym nastroju koleżeństwa, dzięki któremu zaciera się szybko różnica pomiędzy poszczególnymi żołnierzami. Mam na myśli różnice społeczne, różnice środowisk i wszelkie odrębności związane z takim czy innym miejscem lub krajem pochodzenia.

My, Polacy z Ameryki, jesteśmy szczególnie przywiązani do religii katolickiej. Dlatego też z radością stwierdzam, że w świątlicach i na kwaterach żołnierskich widzi się wszędzie godło Krzyża, obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej. Ten nastroj działa bardzo dodatnio na żołnierzy pochodzących z Ameryki. W czasie swego pobytu byłem kilkakrotnie na nabożeństwach i widziałem, że wojsko polskie, polskie lotnictwo i marynarka przepojone są religijną żarliwością i że żołnierze uczęszczają na nabożeństwa, dając wyraz głębokiej potrzebie wewnętrznej, a nie tylko spełniając swój obowiązek formalny.

—Czy zetknął się Ojciec Prowincjał na Wyspach Brytyjskich również z Polakami służącymi w armii Stanów Zjednoczonych?

—Tak jest i to nawet z wielką ilością żołnierzy różnych stopni. Wszyscy oni mówią z radością o tym, że Polskie Siły Zbrojne w Wielkiej Brytanii zyskały sobie tak dobrą opinię wśród społeczeństwa angielskiego i szkockiego. Uważam za bardzo pożądane dalsze zacieśnienie węzłów koleżeńskich pomiędzy Polakami z Armii Polskiej a Polakami z Armii Amerykańskiej.

—Czy ilość Polaków w Armii Amerykańskiej odpowiada procentowo ilości obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego?

—Gdzie tam—przekracza ją wielokrotnie. Polaków obywateli amerykańskich jest około 4%. Gdy po wybuchu wojny w Europie rozpoczęto powiększanie Armii Amerykańskiej drogą zgłoszeń ochotniczych—zgłosiła się taka masa Polaków, że nasi synowie i bracia stanowili 17% całej tej Armii. Obecnie mamy

już w Ameryce armię z poboru. Polacy garną się chętnie w szeregi a ilość poborowych polskich jest rekordowa. Wielki wpływ na siłę liczbą żołnierzy polskich ma także fakt, że rodziny polskie w Ameryce mają liczne potomstwo. Rodzina polska mająca sześciu synów nie jest wcale wyjątkiem, podczas gdy w społeczeństwie anglosaskim taki układ stosunków rodzinnych należy do rzadkości.

—Słyszałem, że Ojciec Prowincjał wraca już niedługo do Ameryki, gdzie zapewne opowie rodakom o tym, co widział.

—Tak jest. Obowiązki wymagają mnie z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Jestem niezmiernie wdzięczny Generalowi Sikorskiemu za zaproszenie do Wielkiej Brytanii i za umożliwienie mi zetknięcia się z polskimi żołnierzami. Wróć do Ameryki z dobrymi nowinami dla tamtejszej Polonii. Powiem jej szczerze, że może być dumna ze swych walczących rodaków. Wasza walka łącznie z bohaterką walką podziemną umęczonego Kraju zapewnią Polsce dobrą przyszłość.

Żegnając się z Wojskiem Polskim w Wielkiej Brytanii, chcę powiedzieć rodakom tutaj, że Polska ma w opinii amerykańskiej coraz mocniejszą pozycję. Odnosi się to nie tylko do Wojska, ale i do Rządu polskiego. Podkreślam z naciskiem, iż powaga Rządu Rzeczypospolitej a zwłaszcza Szefa Rządu i Wodza Naczelnego generała Sikorskiego rośnie w Ameryce z dnia na dzień. Można powiedzieć bez przesady, że pomimo chwilowej utraty naszego terytorium państwowego, jesteśmy dziś jako państwo, bardziej znani i szanowani w Ameryce, niż kiedykolwiek. Wielka to zasługa ludzi kierujących sprawami Rzeczypospolitej.

LUDWIK TYŚMIENICKI

Z tygodnia na tydzień

4 października: Gen. Sikorski przemawiając przez radio do Polonii Amerykańskiej w Dniu Pałaskiego stwierdził m.in., że na obczyźnie bije się 110.000 żołnierzy polskich.

6 października: z 5/6 bm. polskie dywizyjny bombowe uczestniczyły w silnym nalocie na zachodnie Niemcy. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

7 października: w Izbie Lordów przemawiał Earl Elgin przedkładając Izbie wniosek protestujący przeciwko zbrodniom niemieckim w Polsce i wyrażający głęboki podziw narodowi polskiemu za jego niezłomną postawę i podnoszący na duchu przykład dla innych narodów. Wniosek zapewnia Polskę, że jej ofiary nie pójdą na marne.

—Gen. Kukiel, mianowany Mi-

nistrem Spraw Wojskowych, żegnając żołnierzy I Korpusu w specjalnym rozkazie powiedział m.in.: "Ochodząc, z wdzięcznością myślę o dowódcach i żołnierzach wszelkich stopni, którzy z wiarą, energią i poświęceniem pracowali w ciągu tych lat, o wszystkich, którzy dbali o dobre imię polskiego żołnierza w Szkocji..."

8 października: z 8/9 bm. polskie dywizyjny bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich. Jedna załoga nie powróciła.

—Naczelną Wódz odwiedził chorego od dłuższego czasu Wiceministra Spraw Wojskowych gen. Modelskiego, spędzając na rozmowie z nim przeszło godzinę.

9 października: polskie dywizyjny myśliwskie brały udział w wielkich dziennych działaniach

lotnictwa Sprzymierzonych, ostając amerykańskie "latające fortece", które bombardowały cele koto Lille. Polscy myśliwcy strącili trzy samoloty nieprzyjacielskie, na ogólnie strąconych przez myśliwców sprzymierzonych pięć samolotów. Jeden samolot nieprzyjacielski został uszkodzony przez polskiego pilota. Straty polskie wyniosły jeden samolot.

10 października: W Perth odbyła się uroczystość odsłonięcia i przekazania miastu brązowej tablicy pamiątkowej ofiarowanej przez Dowódcę I Korpusu i jednostki polskie, które stacjonowały na terenie hrabstwa Perth. Ze swej strony Lord Provostry Perth wręczył nadane od miasta "płomienie" do tręb dla Pułku Rozpoznawczego.

SZAŁ "HERRENVOLKU"

Postanowienie rządu niemieckiego, ażeby zakuć w kajdany brytyjskich jeńców wojennych dowodzi, iż Rzesza ma na względzie jakieś inne jeszcze sprawy, aniżeli rzekome represje za postępowanie angielskie. Chwilami wydaje się, że propagandzie niemieckiej zależy na tym, ażeby w społeczeństwie niemieckim wywołać odruchy niewiści do Anglików i pokazać jak to niecień obchodzą się Anglicy z przedstawicielami "Herrenvolku." Berlin sądzi, że może w ten sposób uda mu się osiągnąć wyższe nastrojów wojennych i wykaże ogółowi niemieckiemu, kto jest owym istotnym a śmiertelnym wrogiem Rzeszy.

Być może zatem, że istotnie zadaniem i planem niemieckim jest stworzenie psychologicznej podstawy do działań wojennych przeciwko W. Brytanii. Po bombardowaniach brytyjskich, które wywołały w Rzeszy nieładą *respekt dla lotnictwa brytyjskiego*, trzeba było zapewne chwycić się jakiegos wybiegu, któryby pokazał, że jednak ci Anglicy, którzy tak zalażają Rzeszy za skórę, nie są niczym nadzwyczajnym i że będzie się ich nawet gorzej traktować, aniżeli zwykłych jeńców wojennych.

Wszystkie te zamiary niemieckie nie są narazie nadmiernie jasne, ale sądzić trzeba, że kryje się za nimi jakiś plan, który poznamy z biegiem czasu. Chwila, w jakiej Rzesza przystąpiła do akcji w stosunku do jeńców brytyjskich jest osobiwa—Rzesza utknęła pod Stalingradem i podobno na niektórych odcinkach frontu rosyjskiego wojska niemieckie już się okopują.

W takiej chwili Rzesza stoi przed decyzją: albo na wiosnę przyszłego roku podejmie działania w Rosji, albo też postara się przejść na frontie wschodnim do defensywy, a natomiast ruszy do działań zaczepnych na Zachodzie czy na Środkowym Wschodzie.

Czy Rzesza może sobie pozwolić na podobny manewr? Czy możliwa jest defensywa na frontie wschodnim w oparciu o nieistniejący jeszcze "Ostwall"—który jednak niewątpliwie się buduje—czy

możliwe jest zwrócenie się twarzą do innych teatrów wojny przy utrzymywaniu defensywy na Wschodzie? Nie potrafimy na to dać odpowiedzi.

Z odpowiedzią na to pytanie poczekać będzie trzeba bodaj aż do wiosny przyszłego roku. Niemiecka ofensywa w Egipcie mogłaby się jednak zacząć już wcześniej—przypuszczać bowiem trzeba, że siły lotnicze Rzeszy powoli opuszczają front pod Stalingradem i przerzucają się na inny front. Nie jest to zabieg prosty i trzeba przyjąć, że od wycofania eskadr do ich użycia na nowym froncie upływa około 6 tygodni.

Działania przeciwko Anglii, jeżeli chodzi o odcinek lotniczy oraz w Libii mogłyby się zacząć zatem z początkiem grudnia.

OKOPY POD STALINGRADEM

Niemieckie dowództwo naczelne ogłosiło, że właściwie zadania ściśle wojskowe w odniesieniu do Stalingradu zostały zakończone i że piechota nie będzie już szturmować ulic opornego miasta. Dzieło zniszczenia odda się artylerii, która zrukuje istniejące jeszcze kwatery domów i zabudowania fabryczne.

Tego rodzaju oświadczenie było znamienne, dowodziło bowiem, że straty piechoty niemieckiej w Stalingradzie są znaczne i że niemiecki sztab generalny postanowił jednak unikać nadmiernych ofiar. Doniesienia neutralne z frontu pod Stalingradem mówią wyraźnie, że dla żołnierza niemieckiego Stalingrad jest istnym piekłem na ziemi i że miasto to przestało istnieć w niektórych odcinkach. Pisma szwedzkie donoszą, że Stalingrad jest jednym kretowiskiem, że istnieją tam tylko piwnice, w których gnieźdzą się żołnierze niemieccy, że życie ich jest czymś niedającym się opisać i że warunki walki są na'gorsze ze wszystkich znanych dotychczas frontów.

Zapowiedzi dowództwa niemieckiego jakoś się nie spełniły, albowiem następnego dnia po tej

zapowiedzi piechota niemiecka była jeszcze w akcji, podobnie jak poszło do natarcia czołgi, ale wydaje się, że był to już ostatni zryw. Bo oto ostatnie doniesienia mówią już o tym, że piechota okupuje się, że walka przybiera charakter okopowy.

Stalingrad jest zdarzeniem doniośnym pod każdym względem. Dowiódł on, że piechur sowiecki, dowodzony przez swoich zaprawionych w boju dowódców nie tylko sprostał piechurowi niemieckiemu, ale go pobił w starciu wręcz. Stalingrad dowiódł dalej, że najgorsze bombardowanie z powietrza jeszcze nie potrafi zniszczyć miasta i że obrona miasta przy dobrych warunkach uzbrojenia oraz zabezpieczenia sobie dopływu sprzętu, chociaż by najmniejszą luką jest nie tylko możliwa w tej wojnie zmechanizowanej, ale skuteczna—bardziej skuteczna, aniżeli obrona linii rzek czy nawet pasm górskich.

ZNIESIENIE KOMISARZY POLITYCZNYCH

Postanowienie zniesienia komisarzy politycznych w armii czerwonej jest dowodem, że armia ta w całej pełni staje się czynnikiem samodzielnym, niepodlegającym żadnej kontroli. Komisarze polityczni okazali się zbędni, a rozkaz dzienny Stalina wydany w tej sprawie wskazuje, że raczej nawet mogli być szkodliwi, gdyż istniała dwoistość komendy czy dwoistość władzy na terenie danej jednostki.

Jest to nader ważne posunięcie, dowodzące, że czynnik polityczny czy ideologiczny tej wojny zaczyna w armii tonąć i że państwa totalne uznały, iż można dzisiaj wyłączyć już śmiało tę nadbudowę partyjną czy ideową, jaką stwarzało się w dobie pokoju. Rosja sowiecka wprowadziła system komisarzy politycznych uważając, że są oni potrzebni przy budowaniu armii czerwonej, że trzeba wpoić w armię przekonania partyjne, że trzeba wprowadzić nadzór partii

nad armią. Okazało się jednak, że w ogniu wojny ten system nie wytrzymał próby.

Armia musi bowiem być dowodzona centralnie, jednolicie, na podstawie przesłanek strategii i taktyki a nie takiej czy innej linii politycznej czy Karola Marxa. Armia musi być dowodzona przez dowódców, którzy żyją z żołnierzem, a nie przez komisarzy, którzy rozmawiają z żołnierzem, względnie dają mu przestrogi. Jednym słowem zaufanie do dowódcy musi być zupełne a nie może być całkowitego zaufania, jeżeli obok dowódcy istnieje jeszcze komisarz, mający w kieszeni wiadomo jakie rozkazy.

Ta zmiana dowodzi, że przywódcy Sowieci rozumieją, iż wojna obecna usamodzielniała oficerów czerwonych, że nie potrzebują oni zachęty do spełniania swojego obowiązku, że wiedzą oni co robić, że są patriotami i że to jest właśnie najwłaźniejsze.

Armia sowiecka wysuwa się na pierwszy plan jako czynnik decydujący w ustroju sowieckim. Partia musi zejść na drugi plan. Jest to koniecznością i nikt na to nie poradzi. Podobnie stało się to na małą skalę w czasie kampanii abisyńskiej faszystowskich Włoch, podobnie armia niemiecka odsunęła na bok wpływy samej partii czy wpływy takiej czy innej formacji partyjnej i dzisiaj jest czynnikiem pierwszej wagi, jeżeli chodzi o front walki. Nie wiemy oczywiście jak przedstawia się front wewnętrzny Rzeszy, albowiem jest on dalek w rękach partii. Ale nawet przy władaniu partii na froncie wewnętrznym Rzeszy, prestiż armii posiadał niepomiarne w górę—mowy, jakie wygłoszono ostatnio w Rzeszy celowo i stale zwracały się do owego "Frontsoldat" i mówcy partyjni zbierali najwięcej z tej okazji oklasków.

Wydaje się chwilami, że partie totalnych ustrojów rozprzegają się poniekąd w ogniu wojny i że armie występują coraz wyraźniej na plan pierwszy.

POŚPIECH, OFENSYWA—TO RZECZY ISTOTNE

Willkie, który wraca obecnie z Chin do USA powiedział, że "obroną nie wygra się tej wojny." Minister dla spraw produkcji W. Brytanii zaznaczył, że zbliża się chwila, kiedy trzeba będzie przejść do inicjatywę działania i dać do zrozumienia, że stanie się to na wiosnę przyszłego roku. Plk. Knox, minister marynarki wojennej Stanów Zjed. zaznaczył, że na Oceanie Spokojnym Stany Zjedn. przeszły do ofensywy.

Równocześnie Lord Halifax, ambasador W. Brytanii w Stanach Zjed. powiedział, że państwa demokratyczne przywykły do tego, iż stoją za nimi nieprzebrane zasoby surowców, jednakże podjęto sprawę, że państwa te posiadają dzisiaj wielkie zasoby surowców, że mają nawet nadmiar niektórych surowców jak aluminium czy guma w porównaniu z państwami demokratycznymi. Wynika z tego jasno, że czas nie pracuje dla aliantów.

Wszystkie te przemówienia zacierają do wykazania jednego, a mianowicie tego, że pośpiech jest istotnym składnikiem tej wojny. Dlatego właśnie w USA debatuje się dzisiaj nad tym czy obrzymie zbrojenia na lądzie, na morzu i w powietrzu rzucić teraz i zaraz na fronty walki czy też użyć ich do wyposażenia armii amerykańskiej, która z końcem roku przyszłego liczyć będzie 10 milionów żołnierzy. To jest pytanie zasadnicze i kto wie czy USA nie opowie się za tym, ażeby przede wszystkim rzucić na szalę teraz i zaraz wytworzony sprzęt a nie zbroić miliony żołnierzy.

Jest również aż nadto jasne, że czas jest właściwie czynnikiem neutralnym, jest świadkiem, który pomaga temu, kto najwięcej i najszybciej wytwarza, organizuje, kto potrafi swoje możliwości surowcowe i materiałowe przerobić na żywą siłę—że jednym słowem liczenie na działania czasu jest dla obu stron zabiegiem niebezpiecznym.

Londyn, 12 października 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

“My was tu mamy za braci”

(Korespondencja własna “Polski Walczącej”)

Włóki się za nimi tyfus, szkorbut i odra. Włóki się za nimi mury ostatnich dwóch lat, epidemie, głód i cierpienie. Z 58 stopni mrozu z wiatrem rzuciła ich wojna w czterdziestostopniowe upały, w burze piaskowe, na twardą, gliniastą pustynię, kędy ciągnęli karawaną samochodową setki kilometrów kierując się busolami.

—Głina była ubita, jak ściernisko po suszy—mówią, przyswajając sobie tę pustynię, polszcąc nieznaną świat.

—Rok temu byłem skazany na śmierć...—mówią, i wspominają puste hale fabryczne ze słomą rozestaną na betonowych podłogach, hale, które im cudem niemal roztworzyły świat odnowa, hale, z których pociągnęli potem przez pustynie czarnych kamieni, na których i żdźbła zieleności nie znaleźć, aż do ogrodu transjordańskiego kraju “mlekiem i miodem płynącego.”

Ludzie naokoło mówią: “Co było to było! *Let bygones be bygones!*” Ale zapomnieć nie tak łatwo, zwłaszcza, gdy coraz to ktoś zapyta, jak ci pierwsi spotkani Anglicy:

—A owoce świeże dawali wam tam codziennie...

Oficer X uśmiecha się opowiadając o tych świeżych owocach.

—Czy bardzo było ciężko?—pytam naiwnie.

Oficer Y patrzy na mnie z ponad zapalanego papierosa.

—Ano cóż...—mówi.

Skrzywną zlamana zapalka.

—Kiedy teraz myślę...—mówi.

Zgłosiła druga zapalka.

—Ładną tutaj macie pogodę—mówi oficer Y i trzecią zapalką zapala papierosa.

W Capetown była zima i spali pod trzema kocami. A tydzień potem, w Rio de Janeiro, było już gorąco.

I tak ich miotło tysiącami kilometrów, aż wreszcie ciekawi jeszcze jednego kraju, Amerykanek, Nowego Yorku i własnego nadchodzącego dnia—dojechali do Ameryki.

A potem ich przyjmowali w Nowym Yorku. Kręciło się naokoło kilkanaście panienek w błękitnych mundurach AWVS (*American Women's Volunteer Service*). Zawieźli ich windami na siedemdziesiąte któreś piętro i pokazali Nowy York.

—Tu jest sławna Fifth Avenue—mówili.—A tu jeszcze sławniejsza Broadway. A to Brooklyn.

—A to co tam sterczy?—spytał któryś.

—To jest najwyższy budynek na świecie: *Empire State Building*. Ma sto dwa piętra.

—Sto dwa! Psiakrew!—mruknął któryś i próbował zapamiętać nazwę.—*Empajr Stet?*

A potem znowu windą na dół, z przedkimi numerami pięter migającymi nad zasuniętymi drzwiami, z szumem w nieprzywykłych uszach.

A potem szliśmy ulicami Nowego Yorku, z ciężkim “fasonowym” gruchotem kroków. Gdyby nie te buty, podkute, a nie z gumowymi podeszwami jak w wojsku amerykańskim, i gdyby nie te orzelki—to można ich było wziąć za Amerykanów. Bo mundury mieli wydane tutaj. Lekkie, letnie przepisowe khaki. I może jeszcze—gdyby nie twarze... Twarze były bardzo inne i ludzie po chodnikach stawiali i patrzyli na nie. A kiedy pytali lśniaco-okiej panienki z AWVS kto to idzie i zrozumieli, że to Polacy—dziewczęta się uśmiechały dobrymi uśmiechami, mężczyźni uchylali kapeluszy, a gdzieś niedaleko entuzjastyczne starsze panie zaczynały klaskać.

I mówili:

—*So many Poles!* Skąd ich się tyle wzięło?

I mówili:

—*Look at those shoes!* Jakże to buty mają, patrzcie...

Spojrzałam wtedy i ja. Bo dotąd nic dziwnego w nich nie widziałam. Przyjęłam ich gruchot, jak przyjęłam beleczy kaprałskie, łatwiej zrozumiałej, niż naszywki amerykańskie. Spojrzałam na buty chłopca, przy którym akurat szłam. Powiódł za mną oczyma.

—A te buty to nam dali jeszcze w Rosji—powiedział.

—Rosjanie?

—Gdzieby tam!... Anglicy.



Na nowojorskiej ulicy



Na dachu “drapacza chmur”

Była chwila milczenia. Oboje myśleliśmy o tych dwóch latach i nie wiedziałam: mówić czy nie mówić.

—Czy Pana rodzina tam jeszcze jest?—spytałam w końcu.

—Tak—powiedział.

I znowu była chwila milczenia.

A potem:

—Dzieci wszystkie wymarli.

Skręciliśmy w prawo i zakorkowaliśmy ruch na *Avenue*. Wyciągnęłam kroki, starając się zrównać na nowo z szeregiem. I znowu szłam chwilę milcząc i znowu on pierwszy powiedział, bardzo jakoś nieosobiście, jak oni wszyscy, jakby mówił o kimś innym:

—Gdybym się miał drugi raz tak samo, tobym się już wolał zabić.

Taka determinacja wyjrzała z tych słów, że odruchowo podniosłam oczy i przyjrzałam się jego twarzy. Nie spojrział na mnie. Był niższy ode mnie, opalony na brąz, i miał twardą twarz, z której trudno było odgadnąć wiek.

—Ile Pan ma lat?—spytałam.

—Dwadzieścia jeden—powiedział. A po kilku krokach dodał:—A pani Wilno zna?

—Znam dobrze. Miałam rodzinę

na Wileńszczyźnie.

—A Lidę Pani zna?

—Jakże! Wszystkie te strony znam.

Uśmiechnął się wtedy. I więcej nie pytał, ani o “Brodziej,” ani o “*Empajr Stet Bildin*.”

A potem przyszedliśmy do pięknego hotelu, gdzie im grali na harmonii, krakowiaki i “Bubliczki” i nawet “*Oczy Czornyje*,” i gdzie nowe zastępy AWVS czekały na nich z obiadem. Stoly były pokryte wielobarwnymi serwetami i kolorowe małe serweteczki papierowe leżały na naszych talerzach razem z paczuszką papierosów. Na środku stołów stały talerze z brzoskwiniami, winogronami i renklodami. Dali im sałatkę kartoflaną, *sandwicze*, wiele lodów, ciast i ciasteczek; i te owoce. Kopiarty talerz z ciastkami stał długo nieruszany mimo moich zapraszań. Wreszcie jedna z naszych gospodyń obeszła cały stół rozkładając ciastka po talerzach.

—Oni jakoś nie mają apetytu—powiedziała do mnie z troską w głosie.—A owoce? Proszę im powiedzieć, żeby jedli owoce.

—Niech panowie przesuną naokoło talerz z owocami między sobą—powiedziała posłusznie.

—Dziękujemy—powiedzieli. I nie przesunęli. Wreszcie mój perkatonosy sąsiad z czupryną “na jeża” chrząknął i powiedział:

—Ja jabłka to już chyba od wyjazdu z Polski nie widziałem czy co...

Spojrzałam na środek stołu. Jedno jabłko się tam zaplątało między brzoskwinie, winogrona i renklody. Sięgnęłam po talerz.

—To niech pan teraz zje!—uśmiechnęłam się.

—Tam w tej Palestynie same pomarańcze i inne takie człowiek je—powiedzieli.—Aż się na żołądku niedobrze robi.

W hallu stała przewodnicząca AWVS z wypiekami na policzkach, starając się dowiedzieć od wysokiego sierżanta, jak jest po polsku: *God speed*.

—Niech Bóg prowadzi!—mówi sierżant.

—Niech buh provazi... niech buh provazi...—powtarzała, starając się zapamiętać. Uśmiechnęła się do mnie nieco tłumacząco, bo jej te słowa

straciły sens i brzmienie, jak za często powtarzane “niepieprz Pietrze.”

Kiedy wraca na salę jadalną, gdzie już żołnierze zaczynają “hiphurować” i śpiewać gospodyniom “Sto lat,” sierżant obraca się ku mnie poufnie:

—Pani wie może, czy tu w Nowym Yorku, gdzie teraz Carmen Miranda występuje w jakimś lokalu?

Zobaczyłam bezradnie, że moje przygotowanie na przewodniczkę było rażąco jednostronne i powierzchowne. Starłam się stanąć na poziomie, mimo tej wyraźnej i nie dającej się niczem zasłonić niewiedzy:

—A co? Chciałby ją Pan zobaczyć?

—Ano, chciałbym...—powiedział sierżant.

Carmen Miranda... Carmen Miranda... Szukałam w głowie jakiegoś skojarzenia. W końcu sobie przypomniałam: Południowa Ameryka, egzotyczna muzyka, egzotyczny taniec, białe zęby, błyszczące oczy, duże usta.

—Ładna jest, prawda—uśmiechnęłam się.

—Gdzie tam!—powiedział sierżant.—Ale...—szukał słowa przez chwilę, wreszcie zdecydował się na kompromis—“ciekawa.”

—Napewno jest tutaj jakiś film z nią—starłam się jak mogłam.—Dowiedział się łatwo.

—Filmy widziałem—powiedział sierżant.—Ja ją chciałem zobaczyć.

Z sali jadalnej zaczęli się wysypywać żołnierze.

—Pani wybacz...—salutuje sierżant i odchodzi całując mnie w rękę.—Kompania pierwsza, na lewo! Kompania druga, na prawo.

W Domu Polskim na Placu Świętego Marka już od pięciu dni wisi afisze: WE CZWARTEK WIECZOREM—PRZYJĘCIE DLA POLSKICH ŻOŁNIERZY.

Odkomenderowano setkę na to przyjęcie. Weszli na salę między zwarty tłum ludzki i krakowskie kostiumy dziewcząt. Obstąpili ich od razu. Zobaczyłam młodego kaprała spod Lwowa, którego poznałam kilka dni temu. Trzy “krakowiaki” stały naokoło, grupka podziwiających starszych kobiet, i zażywny przedsiębiorca pogrzebowy z Bronx'u namawiający kaprała: “Chodźta do bary, co?” Uśmiechnęłam się przechodząc. Kapral zasalutował. Pochwyciłam skrawek rozmowy:

—A z jakiego powiatu pan?—pytała kobieta trzymając kaprała za rękaw jakby się bała, że ucieknie.—Spod Żółkwi? Tamże moja siostra do dziś dnia żyje. Dziwujcie się! To może pan i z mojej wsi?

Pracowicie przepychałam się do schodów, sunąc za innym gościnnym gospodarzem prowadzącym dwóch żołnierzy do baru. Wsuwał im po drodze w ręce papierosy i mówił:

—Tańczta sobie, chłopcy, jedzta, pijta! Tyle waszego! Tyle waszego! Nacieszta się! My was tu mamy za braci.

* * *

Oficer Z poradził mi serio:

—Niech pani, broń Boże, nie pisze skąd nasi żołnierze przyjechali, dokąd jadą, ilu ich jest, gdzie są stacjonowani. Proszę nie podawać żadnych nazwisk, ani imion, ani stopni służbowych. W ogóle najlepiej byłoby, gdyby pani nie o nich nie pisała.

Panie oficerze Z, trudno mi jest pana przekonać logicznie, że pisać o pobycie naszych żołnierzy w Nowym Yorku muszę. Nie mogę Panu dowiedzieć, że to konieczne. Ale kiedy przyjeżdżający na wiec mówca zaczyna orację: “Towarzysze!”, kiedy się z nagła dowiaduję, że się człowiek mowiącego po polsku: “Kto pan jesteś?”—a ten odpowiada: “siaki” albo “taki”; kiedy się z nagła dowiaduję, że się chodziło najpierw do szkoły “siakiej” a potem “takiej,” mimo naiwnej wiary, że się cały czas chodziło do szkoły polskiej—wtedy właśnie dobrze jest słyszeć ludzi mówiących nieznanym przybyłym: “My was tu mamy za braci!” I dobrze jest o nich pisać.

WIERSZE

NA POKŁADZIE M/S

“BATORY”

Oto znów ląd przede mną. Znów cisza zatoki.
Biała noc zmienia fale w kryształ zwierciadłany,
Jeszcze patrzę na zachód i ogarniam okiem
Mą wędrówkę do słońca przez dwa oceany.

Konwój doszedł. Już można rozładować działa.
Jutro droga bez granic w stal torów się zwięzi,
Trzeba zostać, choć jedna podróż mi została:
Zawist nad nią, jak fatum balon na wwięzi.

Stado mgieł z gór wyległo i pnie się po szczytach.
Jakieś zmiany srebrzyste zaszyły w ich kolorze—
Niebo, niebo jaśnieje! Na wschodzie już świta!

Serce radość przyspiesza nagła i niezmierna,
Że ukończę szczęśliwie, litościwy Boże,
Moją podróż z powieści fantastycznych Verne'a.

RYSZARD KIERSNOWSKI

DWIE TĘSKNOTY

Mam tu prawie wszystko:
i mieszkanie wygodne, czystą
pościel, poduszkę i życzliwej
gospiny przywilej;
a jednak tęsknię za pociechą
spania choćby na zwykłej stomie,
nawet bez słomy—na betonie,
lecz pod polską strzechą...

Nie przyszedłem zebrać. Pracuję
na chleb i mam go ile trzeba.
Jest biały, smaczny. Jednak czuję
wciąż /to dziwne/, że... brak mi chleba.
Niech lepiej będzie najczarniejszy,
czarny jak czarność polskiej ziemi,
wydobyty trudem największym
moją własną dłonią
z mojej własnej ziemi.

TADEUSZ PAWLIKOWSKI

MARTA WAŃKOWICZÓWNA

„Kumotry” z za oceanu

(Od specjalnego korespondenta „Polski Walczącej”)

Kiedy w drugą rocznicę wylądowania na tej wyspie przesyppyałem w pamięci, dość melancholijnie przeważnie, wrażenia, wyniesione z krótkiego pobytu we Francji, uśmiechnąć się mogłem pogodnie do jednego przewyciężonego już „złego” wspomnienia.

Był już czerwiec 1940 r., gdy przybyliśmy do St. Nazaire z polskim słowem i piosenką do artylerzystów przeciwlotniczych. Mała uliczka, nosząca wszakże majestatyczne miano: „Rue d’Ocean,” zaprowadziła nas nad morze. Od jej wylotu rozpościerał się widok na bezmiar Atlantyku. Wieczór był i przypliw właśnie wzbierał, gdy stanęliśmy nad brzegiem. Przymknawszy oczy, można było marzyć, że to fale Bałtyku tak szumią, że się jest w Gdyni. Ale to był inny kraj i inni byli ludzie.

Daleko przed nami na skalnym cokole, ogarniętym już przez przypliw, zobaczyliśmy jakiś pomnik: na skrzydłach orła stał żołnierz w płaskim helmie bojowym. Ręce były wzniesione w górę jakby w ruchu powitania; w jednej z nich tkwił dziwnie krótki miecz. Nazajutrz, gdy morze cofnęło się daleko, przebrnąłem przez zwaliska morskich pomników i wtedy zobaczyłem, że miecz jest złamany, a w rękę spiżowego rycerza pozostał tylko ułamek. Napis, wyryty na cokole, głosił, że właśnie w tym miejscu w r. 1917 wylądowały na ziemi francuskiej pierwsze oddziały amerykańskie.

Ale dlaczego miecz jest złamany? Zwraçałem się z pytaniami do kilku osób, ale nikt nie umiał dać mi wyjaśnienia: może rdza przeżarła metal, może gwałtowny sztorm nadkruszył brzeszczot? Tylko stary rybak bretoński, z którym rozmawiałem o tym, powiedział: „To znak, to zły znak, panie! W tamtej wojnie Ameryka była po naszej stronie, walczyła razem z nami—dziś jest neutralna. Miecz amerykański jest stępiony, złamany. Bóg wie co się stanie.”

Utkwiły mi głęboko w pamięci te słowa. Trapiły mnie ciężko, gdy w dwa tygodnie później w trwodze i niepewności oczekiwaliśmy statków, które nas miały przewieźć do Wielkiej Brytanii, narzucały się uparcie pamięci, gdy ważyły się długo losy „Lease and Lend Billu,” gdy debatowano nad zniesieniem „Neutrality Act.” Ale coraz mocniej upewnialiśmy się w przekonaniu, że na pomoc, na wysyła broni Stany Zjednoczone nie poprzestaną. Wierzyliśmy, że idealizm Ameryki, gorące umiłowanie sprawy wolności sprawia, że któregoś dnia „arsenał demokracji” stanie się równocześnie jej twierdzą, potężnym oparciem dla Zjednoczonych Narodów. W mglisty dzień grudniowy nadeszła wreszcie wieść upragniona. A po tym raz po raz napływały radośnie witane doniesienia: „Amerykanie przybyli do Australii!” „Już są w Anglii!” Zjawili się wreszcie i w Szkocji.

Byli jednak całkiem niepodobni do żołnierza z pomnika w St. Nazaire. Zamiast helmu na głowie mieli lekkie białe czapeczki, na rękawach granatowych mundurów marynarskich wyhaftowane były białe orły, białe gwiazdki nosili na wyłożonych kołnierzach. I tak się dziwnie złożyło, że w zatłoczonej wszelkiego rodzaju domowymi i alianckimi wojskami stolicy Szkocji, Amerykanów z początku... nie poznano. Natomiast emblemat, który nosili na rękawach nie był obcy tutejszemu społeczeństwu. Widząc więc dziarskich marynarzy paradujących z dziewczętami po ulicach pięknego Edynburgha—domyślni Szkoci orzekli, że to muszą być najwiodoczniejsi chłopcy z „Polish Navy.”

Oczywiście omyłka wyjaśniła się wkrótce, ale równocześnie okazało się, że pozory były tym razem niezwykle silne. Widziano bowiem często, jak przechodzący marynarz amerykański, spotkawszy żołnierza polskiego przystawał, klepał go po ramieniu witając słowami: „Serwus szwagier” albo „Jak się macie kumotrze?” Związka to drugie powitanie było w częstym użyciu. Następował mocny uścisk dłoni, po czym obydwa „kumotry,” zależnie od pory dnia, szli do kan-



Grupa Polaków z amerykańskiego pancernika



Na herbacie w świetlicy „przeciwlotników”

tyny na herbatę, albo i do baru na coś „mocniejszego,” aby przy okazji pogawędzić o Starym Kraju, którego wielu z tych amerykańskich marynarzy polskiej narodowości nie widziało nigdy w życiu. Ciekawość ich była nienasycona. O wszystkim chcieli się dowiedzieć: o marynarzach polskich i lotnikach, o pancerniakach, o czołgach, jakie drogi wiodły nas na wyspę brytyjską i kiedy razem z nimi popłyniemy na kontynent. Była to ciekawość nie przelotna, chwilowa, ujawniała się w tych pytaniach pragnienie poznania prawdy o Polsce, uzupełnienia własnych wiadomości, sprostowania mylnych informacji.

Po kilku dniach pobytu Amerykanie zawojowali Edynburgh tak, jak my przed dwoma laty „podbiliśmy” najpierw Lanarkshire, a potem i resztę Szkocji. Wszędzie ich było pełno. Prym wiodli przed wszystkimi. Zeszli na drugi plan nie tylko wysmukli chłopcy bardzo popularnej reszty „Norske Marine,” ale co więcej, pozwolił się chwilowo zakasować nawet personel przestawnej „Royal Navy.”

Pewnej słonecznej niedzieli żołnierze polscy z ciężkiego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej—ci sami, którzy przed dwoma laty daremnie oczekiwali na działa w St. Nazaire—zaprosili do siebie „polskich Amerykanów” z okrętu wojennego. Niestety tak się złożyło, że wizyta wypadła w przeddzień odpłynięcia, a wobec zarządzonego

pogotowia tylko garstka marynarzy polskiego pochodzenia mogła odwiedzić kolegów z armii polskiej.

Przyjechali ciężarówką. Ledwie otworzono gościnne bramy, już pierwszy przed wszystkimi dopadł ich, ulubieniec dywizjonu „Jack,” wspaniały szkocki owczarek, który porzucił strapionego cywilnego właściciela i bezapelacyjnie „przystał” do żołnierzy. Widocznie uznał nowoprzybyłych za miłych gości, bo pomerdawszy przyjaźnie ogonem wrócił na swoje „stanowisko” przy bramie.

Tymczasem marynarze wysiedli i prowadzeni przez polskiego oficera poszli oglądać baterie na stanowisku bojowym. Już po drodze nasi żołnierze nawiązali pierwsze rozmowy: skąd który pochodzi, z jakich stron w Polsce wywodzi się rodzina. Okazało się od razu, że nikt z sympatycznej siódemki nigdy w Polsce nie był; znają ją tylko z opowiadań rodziców i z pism polskich w Ameryce.

Przychodzimy na stanowisko. Nowe powitania, uściski dłoni. Oficer polski uczestnik kampanii wrześniowej, opowiada o walkach w tym pamiętnym roku, objaśnia różne ciekawe rzeczy z zakresu wiedzy przeciwlotniczej. Stojąc przy jakimś niezwykle precyzyjnym dalmierzu, jeden z gości „odkrywa” małą tabliczkę z napisem, świadcząca, że sprzęt ten jest produkcji amerykańskiej. Rozmowa schodzi na tory ściśle fachowe. Prawie wszyscy goście należą do

obsługi dział na okręcie, nie więc dziwnego, że spotkawszy artylerzystów wymieniają uwagi o kalibrze, nośności dział i t.p. Było by jeszcze wiele i do pokazania i do usłyszenia na stanowiskach, ale niestety, czas pobytu marynarzy jest ściśle ograniczony, więc po chwili cała gromada kieruje się do baraku-sświetlicy.

Świetlica jest skromna, ale ogromnie miła. Na ścianach duże fotografie z widokami miast polskich. Do nich podchodzą najpierw goście. Długo patrzą na obrazy zamków, kościołów, pomników, jakby chcieli je sobie mocno wrazić w pamięć. Tak mocno, aby bez trudu potrafili je odnaleźć, gdy po skończonej wojnie wybiorą się—jak to sobie wszyscy solennie przyrzekają—na wycieczkę do Polski. Są wśród nich tacy, których rodziny przybyły do Ameryki z Warszawy i spod Wilna, jest potomek emigranta z Poznańskiego.

Nagle gwizdek przerywa rozmowy. Alarm! Kilkunastu artylerzystów skoczyło ku drzwiom; goście podeszli do okien. Na stanowisku siedział już „Jack” i bacznie śledził wznoszącą się ku górze łufę działa.

Po kilku minutach alarm odwołano i świetlica zapelniała się znowu. Dwóch oficerów, świetliczarka i kilkudziesięciu artylerzystów czyniło honory domu. Rozmowy szły w najlepsze, próbowano nawet wspólnego śpiewu, ale najlepiej

wypadł występ artysty, delegowanego przez Polską Y.M.C.A., który gościom prawil w uproszczonej gwarze góralskiej o przygodach skrzypiciela Zwyrtały w niebie.

Później „akcja przeniosła się” do kantyny, dokąd zaproszono „kumotrów” na „cup of tea” i szklanke piwa. Tu nastąpiło już zupełne „rozkrochmalenie,” języki rozwiązały się na dobre. Przyszły zwierzenia, oglądanie fotografii i pamiątek. Pilnie notowano adresy dla przyszłej korespondencji. Nastrój zapanował tak miły, jak bywa tylko wtedy, gdy długo rozdzieleni członkowie jednej rodziny spotkają się nareszcie.

Dowiedzieliśmy się więc, że goście nasi, mimo młodego wieku /najstarszy liczy lat 28, sześciu innych ledwie przekroczyło dwudziestkę/ nie mieli w Ameryce łatwego życia. Pracowali ciężko na chleb powszedni, ale wiodło im się niezgorzej. Nielekka jest też służba na okręcie, ale pełnią ją z ochotą. Są dumni z tego, że otacza ich sympatia kolegów, rodowitych Amerykanów. Do roboty się nie lenią, a największy osilek, który w palcach obraca potężne pociski do dział okrętowych—to także Polak z pochodzenia. Nie mają tylko wiele sposobności do mówienia po polsku. Podobnie było pod tym względem także w pokojowych czasach w Ameryce.

—Jakże to jednak możliwe, że mimo zrozumiałych trudności, tak dobrze stosunkowo mówicie po polsku? Kto to sprawił?—zapytałem jednego z marynarzy.

Padło wtedy pomiędzy nas urodzonych na dwóch odległych krańcach świata jedno tylko słowo, które wyjaśniło wszystko. Najpiękniejsze słowo ze skarbcza polskiej mowy: Matusia. Ona nauczyła polskiego pacierza, ona mówiła o dalekim pięknym kraju, który opuściła. Jej kochającymi oczyma patrzył na Polskę młody chłopak. Matusia zadziergnęła mocny węzeł pomiędzy swoim dzieckiem a swoją Ojczyzną.

Niepostrzeżenie mijają chwile w blaszanym baraku. Nie chce się wierzyć, że to dopiero dwie godziny upłynęły od przybycia gości; wydaje się jak byśmy się znali od dawna. I nie tylko wytworzony nastrój to sprawił. Jest w tym także świadectwo, że w Polsce, czy za morzami, rozprószeni po najdalszych zakątkach świata—jesteśmy jednej krwi.

Zbliża się czas rozstania. Kończy się ważność przepustek naszych gości. Na pożegnanie otrzymują jeszcze egzemplarze „Polski Walczącej” i broszury programowe „Lwowskiej Fali.” Odwzajemniają się złożonymi dla żołnierskiego pisma pozdrowieniami dla wszystkich kolegów z Polskich Sił Zbrojnych. Tuż przed odjazdem krótko i serdecznie przemawia jeden z marynarzy, dziękując za gościnne przyjęcie. Oklaskujemy go mocno.

Przed barakiem czeka już ciężarówka, wartownicy podnoszą barierę u bramy. Przed samą bramą zatrzymuje się jeszcze p. Paluch, który z racji swego „ważnego” wieku był niejako przewodniczącym tej delegacji i wręcza świetliczarce artylerzystów piękny jedwabny szalik—upominek od kolegów. Mocne uściski dłoni, kilka okrzyków: „Do zobaczenia w Polsce!” „Nie zapominać!” i wóz rusza w stronę portu.

W drodze do domu opadły mnie znowu wspomnienia, obudzone odwiedzinami marynarzy-Polaków z amerykańskiego okrętu wojennego. Przypomniało mi się St. Nazaire, w którym gospodarze dzisiejszego spotkania nadaremnie czekali na broń i możliwość walki. Nie wiem, czy stoi jeszcze nad brzegiem morza pomnik amerykańskiego żołnierza, czy nie zniszczyli go jak tyle innych niemieccy barbarzyńcy? Ale to wiemy i widzimy wszyscy, że brzeszczot miecza Ameryki jest ostry i potężny. Cień jego już padł na Francję prowadząc do boju przeciw najeźdźcy „Commandos” ów pod St. Nazaire, prowadząc batalion „Rangers” i zwycięskie skrzydła polskie do akcji pod Dieppe. Miecz ten zawisnął już nad Europą.

St. C. Gryniewicz Stanisław Misiewicz
Polacy z Marynarki Amerykańskiej przemawiają porównania serdeczne kolegom z Wojska Polskiego.
Alexander Paluch
Peter Adam Jerszyk
Stanley Lenkiewicz

